

„Losy moich bliskich w latach II wojny światowej”

HISTORIA PRADZIADKA STANISŁAWA WALISZEWSKIEGO

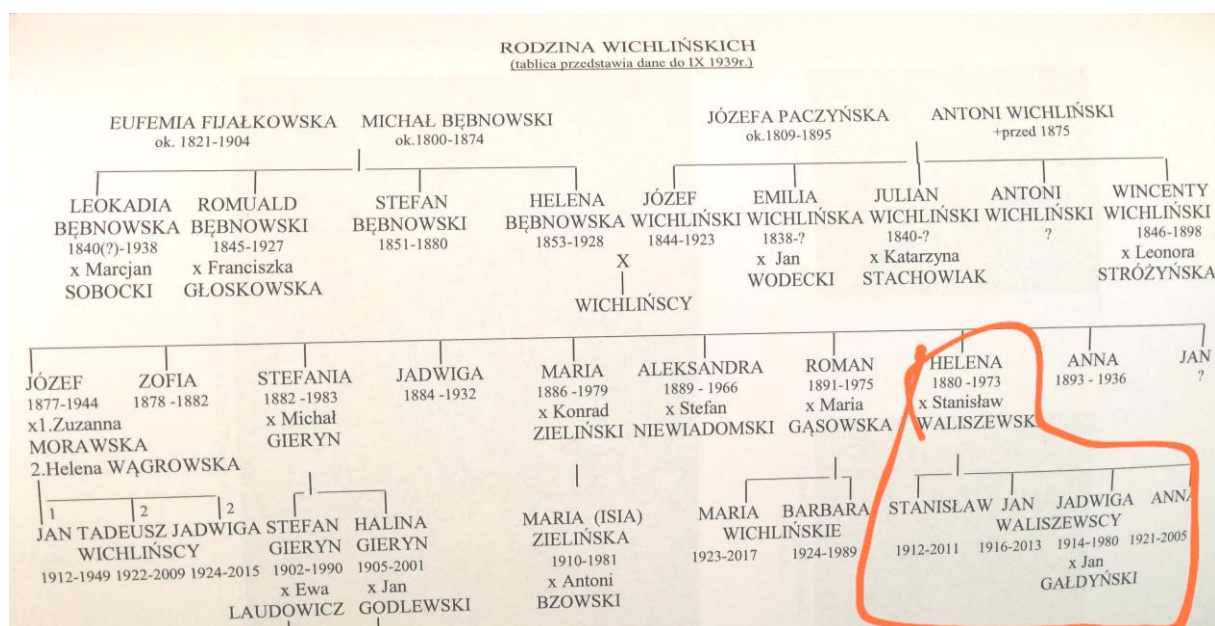
opracowała: Anna Józwiak

Stanisław Waliszewski – mój pradziadek

Stanisław Kazimierz de Waliszewice Leszczyc¹ Skarb WALISZEWSKI, syn Stanisława i Heleny z Wichlińskich; ur. 20 VII 1912 we dworze w Rychwale.



Rysunek 1 Leszczyc- herb szlachecki



Rysunek 2. Drzewo genealogiczne rodu Wichlińskich (rodzina matki Stanisława Waliszewskiego)
Zaznaczono: S. Waliszewskiego, jego rodzeństwo oraz rodziców.

¹ Herb Leszczyc jest jednym z najstarszych herbów polskich. Według podania Bartosza Paprockiego nadany został przez Bolesława Chrobrego. Najwcześniejsze źródło pisane wymieniające herb to datowane na lata 1464–1480 *Insignia seu clenodia Regis et Regni Poloniae* polskiego historyka Jana Długosza.



Mimo, iż miejscem jego narodzin jest wcześniej wspomniany Rychwał koło Konina, już jako dziecko przeniósł się z rodzicami do Gościejewa. W roku 1929 ukończył Gimnazjum im. Przemysława II w Rogoźnie. 6 lat później, w 1935r. uzyskał dyplom lekarza medycyny na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego, a w 1939 r. rozpoczął przewód doktorski, który ukończył po wojnie, w 1948r.



Okres wojny spędził w Golinie (ok. 120 km od Rogoźna), jednak w rodzinne strony powrócił 1 lipca 1945r., na stałe osiedlając się w Rogoźnie. Misję lekarza wykonywał bezwarunkowo. Za pracę doktorską otrzymał najwyższe wyróżnienie "Summa cum laude", następstwem czego była kusząca propozycja pracy na uczelni i zdobywanie kolejnego stopnia naukowego. Jednak w czasach tych na terenie Rogoźna nie było jeszcze żadnej przychodni lekarskiej, a pradziadek Waliszewski przyjmował w swoim domowym gabinecie około 80

pacjentów dziennie. Nie zamierzał rezygnować z niesienia pomocy mieszkańcom Rogoźna i okolic, rezygnując tym samym z pracy naukowej. Pełnił funkcję m.in. chirurga, internisty, okulisty, czy ginekologa². Od 1960r. na terenie naszego miasta rozwinął akcję Honorowego Dawstwa Krwi. Był miłośnikiem teatru - założył Towarzystwo Miłośników Sceny w Rogoźnie. Był oddanym badaczem Całunu Turyńskiego, autorem wielu prac na ten temat, członkiem konferencji syndologicznych w wielu miastach europejskich. Za swoje zaangażowanie społeczne i zawodowe został odznaczony m.in.: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Honorowymi Odznakami "Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego i Pilskiego", a 15 VII 1987 został wpisany do "Księgi Ludzi Zasłużonych dla Miasta i Gminy Rogoźno. Zmarł 20 XII 2011r.

² W latach 1951-68 w Rogoźnie zorganizowano Izbę Porodową, nad którą S. Waliszewski pełnił opiekę. W tym czasie przyjął 2536 porodów bez żadnego przypadku śmiertelnego.

Pradziadek Waliszewski od 1936r. pełnił służbę lekarza pułkowego 58 Pułku Piechoty w Poznaniu. Był nim przez okres pięciu miesięcy, a następnie pracował w Szpitalu Powiatowym w Koninie jako asystent oddziału chirurgicznego. Tydzień przed wybuchem wojny (23 VIII 1939) powołano go do wojska. Znalazł się w Armii Poznań- 17 Dywizji Piechoty- Gniezno. Pracował w Szpitalu Polowym nr 703. Brał udział w legendarnej bitwie nad Bzurą. W spisanych wspomnieniach Pradziadka można przeczytać o jego drodze do Warszawy:

"(...) Sobota 16 września, późny wieczór. W opuszczonym dworze byli ranni. Udzieliliśmy im pomocy i zaopatrzenia w żywność. Nad ranem ppłk Jan Małuj zarządził odprawę. Powiedział do nas wówczas te pamiętne i piękne słowa: „Ja tu zostanę z rannymi. Za dwie, trzy godziny tu przyjdą Niemcy. Wy, młodzi chirurdzy, starajcie się dotrzeć do Warszawy. W[arsza]wa się będzie bronić. Tam więcej będziecie potrzebni niż tu czy w niewoli. Daję wam wolną rękę, możecie spróbować przedzierać się ku stolicy. Niech żyje Polska!”.

Pomimo stałych bombardowań niosących śmiertelne zagrożenie, Pradziadek tak właśnie uczynił:

"Powiedziałem: „Ja idę na Warszawę.” Byłem sam jako oficer. Siostra PCK i kilku wozaków, może 3 -4 wozy nota bene nie ze sprzętem medycznym, lecz z kuźnią i podkowami, łopatami itp. sprzętem kowalско-ślusarskim. Skierowaliśmy się na nową asfaltową szosę idącą do Wisły na Młodzieszyn (...). Ujechaliśmy około 1 km i znów przerażający nalot nisko latających maszyn (...). Polowali na mnie wyraźnie. Leżąc na zboczu rowu widziałem piasek pryskający mi w twarz od bijących pocisków. Po kilku takich próbach zabicia mnie przyszła mi do głowy myśl, aby udać trupa, co uczyniłem. Wówczas odlecieli. Latali na wysokości 20 lub 30 m od ziemi".

Wspomnienia pełne są równie niesamowitych sytuacji, w których Pradziadkowi udało się cudownie uchronić od śmierci i dotrzeć nad Bzurę. Jego głównym zadaniem było niesieniem pomocy medycznej zarówno rannym żołnierzom, jak i cywilom, Polakom, jak i Niemcom. Pewnego razu, na chłopskim wozie do szpitala polowego przywieziono potężnego Niemca. Pradziadek Waliszewski, kierując się zasadą niesienia pomocy *każdemu człowiekowi*, natychmiast zajął się tym niełatwym przypadkiem - odłamek pocisku wyrwał Niemcowi całe podgardle aż do nasady języka. Pomoc polegała na natychmiastowym zaopatrzeniu rany, próbie jej pozszywania (okazało się to być bardzo trudne ze względu na brak tkanki żywej) i zorganizowaniu transportu do Szpitala Wojskowego w Kutnie.

19 IX Pradziadek dotarł do Warszawy. Jednak i wtedy nie brakowało "niespodzianek". Okazało się, że nie każdemu było dane wejść do centrum stolicy. Umundurowany rotmistrz ułanów bacznie pilnował bramy [wokół stolicy] między potężnym opłotowaniem, wokół której gromadziły się oddziały w mundurach. Pradziadek najpierw został wypytany kim jest, skąd pochodzi, co zamierza; ostatecznie usłyszał, że centrum Warszawy nie potrzebuje chirurgów. Chwila osłupienia Pradziadka została szybko przerwana nadarżającą się okazją. Srogi rotmistrz odwrócił się, a ku bramie zaczęła maszerować kompania saperów. Tym oto sposobem Pradziadek jako "saper" rażnym krokiem wmaszerował w "zaczarowany krąg stolicy". Doświadczenie przybycia do stale bombardowanej Warszawy było naturalnie niełatwym doświadczeniem:

"Jakże się jednak zawiodłem! Z bliska było można zauważyć, jak Warszawa już wtedy ucierpiała".

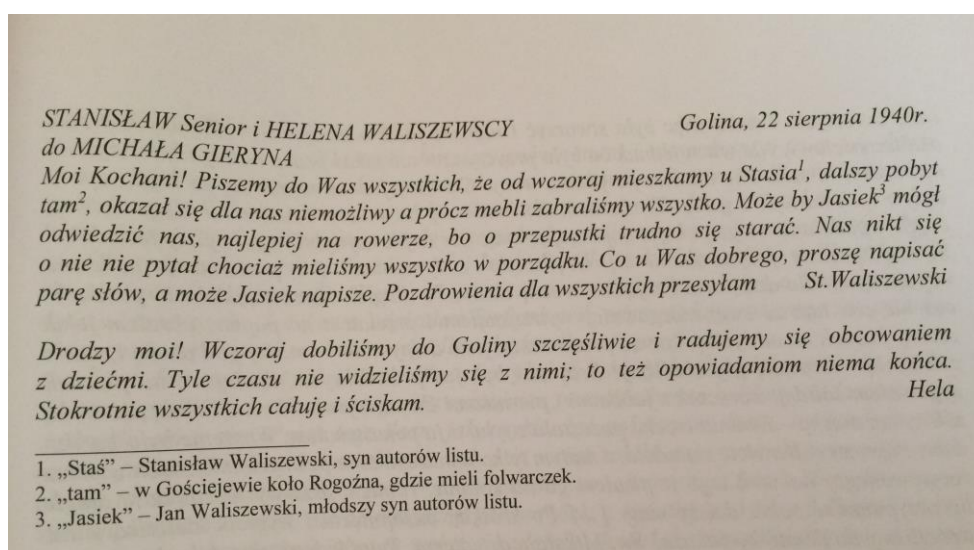
22 IX zbombardowany został szpital, do którego Pradziadek został wcześniej przydzielony, a w chwili bombardowania przebywał w piwnicach tego budynku. Po wyjściu z podziemi i przejściu do odległej o 100m oficyny, by rozeznac tam sytuację, Pradziadek po rumowisku wdrapał się na pierwsze piętro.

"Okropny widok zniszczenia! Było tam jeszcze na łóżkach dwóch żołnierzy ciężko rannych. Jeden z nich nie posiadał obu nóg, a drugiemu jelita wyszły poza jamę otrzewnową".

Tego drugiego udało się uratować; pierwszy, ze względu na brak możliwości przeprowadzenia transfuzji krwi zmarł. Kolejne dni były kontynuacją nieustającej walki o przetrwanie, wydarzeniom tym towarzyszył ogromny głód- do diety zaliczały się jedynie ryż i kasza, natomiast od święta pojawiająca się konina była prawdziwą lukullusową ucztą. To, co Pradziadek wspominał ze wzruszeniem, to bohaterstwo młodych Warszawianek-krwiodawczyń, które oddawały krew nawet kilka razy w tygodniu. Umożliwiało to Pradziadkowi szybkie wykonywanie transfuzji metodą bezpośrednią, ratując tym samym wiele żywotów.

26 IX prezydent Stefan Szarzyński podał do wiadomości, iż "wobec całkowitego wyczerpania się możliwości dalszej obrony, wobec masakry ludności cywilnej i niemożności ratowania rannych i chorych Stolica jest zmuszona skapitulować". Ogłoszono również, że jeśli jest ktoś, kto posiada tytuł oficera rezerwy i jest spoza Warszawy może zgłosić się

po dokument umożliwiający mu powrót do domu. Tym oto sposobem Pradziadek 25 X opuścił Warszawę (do tego dnia, przez cały październik pracował w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie na oddziale chirurgii) i postanowił wrócić w rodzinne strony, do schorowanych rodziców i siostry. Trafił do Konina, w którym jego obecność okazała się być na wagę złota- nie było tam wówczas żadnych chirurgów. Pracował tam do końca kwietnia 1940r., kiedy to został zwolniony przez Niemców. Ci pozwolili jednak na osiedlenie się w Golinie- małym miasteczku, oddalonym o 11km od Konina. Tam Pradziadek spędził resztę wojny. W 1940r. sprowadził do siebie również rodziców; co potwierdzają zachowane kopie listów Stanisława Seniora (mojego prapradziadka) i jego żony Heleny:



Rysunek 3. List Rodziców Stanisława Waliszewskiego do Michała Gieryna

Pradziadek przez cały ten okres był oczywiście czynny zawodowo, ponadto aktywnie wspierał wszelkie akcje na rzecz potrzebujących- wysyłał paczki żywnościowe do obozów koncentracyjnych, wspierał prześladowanych Żydów, pomagając im osobiście w getcie podczas wizyt lekarskich. W tym okresie przygotował swoją młodszą siostrę Annę do roli pielęgniarki oraz "Sprechstundengehilfin", czyli "pomocy gabinetowej". Razem ze swoim przyjacielem skonstruowali aparat do dopełniania odmy chorym na gruźlicę. Mając ciągły kontakt z chorymi, zarówno Pradziadek, jak i ciocia Anna zachorowali na gruźlicę, dającą się we znaki jeszcze przez kolejne lata.

We wspomnieniach warto zwrócić uwagę na przypadki, w których Pradziadka łączyła szczerą przyjaźń z Niemcami. Pierwszym z nich był mgr Laube - ewangelik, ożeniony z Polką - katoliczką; należał do regularnie spotykającego się czteroosobowego towarzystwa

gry w brydża (miejscowa Dentystka, Pradziadek oraz Marian - jego pomocnik i przyjaciel). P. Laube prowadził aptekę, w której wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Kiedy nakazano mu ściągnąć obrazek - uczynił to, przewieszając go w inne miejsce. Jako Niemiec miał dostęp do radia, i to dzięki jego życzliwości cała czwórka słuchiwała wiadomości nadawanych z Londynu. Stanowiły one "mannę wszelkiej nadziei".

Drugim życzliwie wspomnianym przez Pradziadka Niemcem był Komendant Żandarmerii Joachim Kruger. Pozwalał on Pradziadkowi i jego siostrze Jadwidze na przemykanie paczek żywnościowych dla jej męża oraz pozostałych więźniów. P. Kruger został zapamiętany jeszcze z jednego szczególnego powodu: w 1942r. umarł ojciec Pradziadka - Stanisław Senior Waliszewski. Wspomniany Niemiec sam zaproponował trasę pogrzebową przez miasteczko oraz niesienie krucyfiks na początku konduktu pogrzebowego. Oczywiście łatwo się domyśleć, że taka forma pochówku Polaka była całkowicie nietypowa w tamtym okresie. Szacunek, jaki wśród Niemców wzbudzała praca Pradziadka – lekarza potwierdza ich nierzadkie zaufanie do lekarza - Polaka, pod opiekę którego powierzali swoich najbliższych. Jedną z takich sytuacji, niestety wspomniana niezbyt mile miała miejsce w 1942r. z udziałem tzn. "Ukrainiendeutsche"³. Pradziadek został wezwany do porodu⁴, który okazał się należeć do niełatwych. Dziecko ważyło ponad 6kg,

"Potężny mięsień szyjki macicznej zaciskał mocno szyjkę noworodka". Mimo szybkiej interwencji, buźka dziecka była "pełna szlamu i wód porodowych, a ciałko całe nosiło barwę fiołkowo-sinawą. Dopiero po odszlamowaniu noworodek wydał wspaniały okrzyk życia!".

Nie był to jednak koniec tej ekstremalnej walki z czasem. Kobieta zaczęła "buchać krwią". Rozpoczął się maraton ratowania Niemki, a w momencie najsilniejszego etapu krwotoku ponury mąż pacjentki wyciągnął rewolwer i powiedział "Starajcie się, bo jeśli żona umrze, wy stąd żywi nie wyjdziecie". Dzięki godnemu podziwu opanowaniu i zachowaniu zimnej krwi Pradziadek i jego przyjaciel Marian szczęśliwie zakończyli akcję porodową.

³ W ten sposób określano Niemców przesiedlonych z województw wołyńskiego, tarnopolskiego, czy stanisławowskiego. Mieli oni podobno bardzo nienawistny stosunek do Polaków, co może zobrazować wcześniej zapowiedziana sytuacja.

⁴ Warto przypomnieć, że wezwania na wizyty domowe często trwały kilka, nawet kilkanaście godzin. Wiele rozległych miasteczek, wiosek dzieliło się jednym lekarzem, po którego najczęściej przyjeżdżano wozami chłopskimi, zaprzężonymi nie tylko w konie, a również w woły. W tej drugiej sytuacji prędkość jazdy wynosiła 6km/h.

Kontynuując opowieść o "(nie)miłych" pacjentach warto wspomnieć o pewnym wieczorze. Z łóżka wyrwało Pradziadka gwałtowne dobijanie się do drzwi. Jakiegoż szoku doznał, widząc u progu umundurowanego SS-manna. Ten krzyczał i wściekał się, że w poczekalni i w gabinecie nadal znajdują się polskie napisy. Wizyta miała jeszcze jeden cel, którego przedstawianie uważam za bezcelowe. W każdym razie, warte wspomnienia są dalsze losy tego SS-manna. Niedługo czas po wizycie w gabinecie Pradziadka został zaciągnięty do lotnictwa i wyjechał do Anglii. Zginął zestrzelony przez Anglików nad kanałem La Manche.

Inną, godną wspomnienia jest historia Mariana, wcześniej już wspomnianego przyjaciela Pradziadka. Pewnego razu wrócił on po dwutygodniowym pobycie u rodziny w Poznaniu. Pradziadek zastał go całkowicie przejętego i przygnębionego. Jak się okazało, Gestapo *"szalało wśród poznańskiej służby zdrowia"*. Genezą okazało się wyjście na jaw spisku lekarzy, pielęgniarek i aptekarzy- spisku skierowanego przeciwko funkcjonariuszom Gestapo. Na czym polegał spisek? Poznańskie Gestapo miało w zwyczaju spotykać się w kawiarni na ul. Fredry. Wtajemniczono tam jednego z kelnerów, który do kawy podawał Gestapowcom trucizny. Kiedy coraz to więcej funkcjonariuszy chorowało na nieznaną i śmiertelną chorobę, Niemcy zaczęli śledzić i pod torturami zmusili kelnera do wyznania całej prawdy. Kierownikiem tej akcji był Franciszek Witaszek, którego skazano na karę śmierci. Wyrok wykonano w Forcie VII w Poznaniu.

Na początku stycznia 1945r. coraz to więcej Niemców zaczęło wracać na zachód. 26 stycznia w Golinie zostali tylko sami Polacy. Mieszkańcy świętowali, śpiewali "Mazurka Dąbrowskiego"; jak wspominał Pradziadek, był to ich Dzień Niepodległości. Po kilku dniach do domu Pradziadka zapukali (najprawdopodobniej ukraińscy) funkcjonariusze NKWD.

"Wyczuwało się tajemniczą wrogość. (...) Wreszcie puścili farbę! Zarzucili mi, iż mój stosunek do Niemców był zbyt humanitarny, po prostu zbyt dobrze o nich dbałem, podczas gdy powinienem był ich jak najwięcej katrupić! Próżno im tłumaczyłem, iż chcąc dobrze służyć Polakom, musiałem dobrze leczyć także Niemców".

Kiedy sytuacja się pogarszała, a "goście" stawali się coraz bardziej nieprzejednani, nagle wszedł oficer NKWD. Natychmiast zabronił im stosowania zniewag wobec osoby Pradziadka, mówiąc krótko:

"On inaczej postępować nie mógł! Czy myślicie, że Niemcy to kupa durni? Gdyby inaczej postępował, już oni by go po swojemu załatwili".

Po tych słowach rozkazał im opuścić pokój.

Jak już wcześniej wspomniałam, 1 VII 1945 Pradziadek powrócił do Rogoźna, zamieszkując przy ul. Wielka Poznańska 15. Po wojnie objął posadę chirurga w Szpitalu Powiatowym w Obornikach.



Rysunek 4. Tablica upamiętniająca dr Stanisława Waliszewskiego znajdująca się w Rogoźnie na ul. Wielka Poznańska 89 (obecnie budynek Regionalnego Centrum Profilaktyki Uzależnień)

Bibliografia

1. Stanisław Waliszewski: W bitwie nad Bzurą w 702 Szpitalu [Polowym] (dalszy ciąg jego losów). Dostępne w Internecie: <http://bazhum.muzhp.pl> .
2. *Wspomnienia Stanisława Waliszewskiego cz. II "Szpital Polowy 702 na froncie"*.
3. *Wspomnienia Stanisława Waliszewskiego cz. III "Pamiętne Dni Warszawskie"*.
Wspomnienia Stanisława Waliszewskiego cz. V "Taniec na Linie".
4. Biogram dr Stanisława Waliszewskiego opracowany przez Władysławę Lewandowską, odczytany na uroczystości jubileuszowej 50-lecia pracy lekarskiej w grudniu 1985r.
5. Zofia Gieryn-Ignatowicz: *Wichlińscy z Kuchar Borowych i Rychwała. Ich przodkowie i następcy*. Poznań 2017.
6. Zbiory rodzinne.